

Pietkiewicz Antoni

GOŚĆ Z GROBU

Opowiadanie kościelnego dziadka

Będzie już temu lat może dwadzieścia , jak przejeżdżałem z rodzicami przez tę samą wioseczkę, w której dziś zasłyszane podania powtarzam ludziom. Musiałem być wówczas bardzo małą dzieciną, bo ledwie pierwszy raz w życiu tułaczą odbywałem drogę z rodziną niemającą swojego kąta na bożym świecie, a więc skazaną na wieczną pielgrzymkę po dworach panów, którzy częściej mieniają swe sługi, niż najzawołańszy facyendarz konie. Popasaliśmy w bardzo wspaniałej karczmie, oberżą zwanej, do której, ledwie po długiej prośbie, hardy arendarz, czy też oberżysta, dozwolił nam zajechać z naszą nędzną budką; i przenocować, nie w gościnnych pokojach, lecz w szynkarskiej izbie, na wiązce słomy, gdzie gwar obcych gości, przez całą noc biesiadujących, nie dał nam ani oka zmrużyć. Nazajutrz o świcie, kiedy się ojciec krzątał koło pakowania bryczki do dalszej podróży, mnie matka tymczasem wyprowadziła na przechadzkę po zielonym brzegu wspaniałej rzeki, nad którą, w oddali na wzgórzu, stał olbrzymi pałac z

wyniosłemi basztami, krytemi złożoną blachą, otoczony
przepyszny ogrodem,
wysokim opasanym murem, do którego prowadziła gotycka
kosztowna brama. W
ogrodzie, między świerki, sosny, klony, topole i brzozy, w
gustownych rozrzucone
klombach, widać było wysmukłe wieżyczki, chińskie i
szwajcarskie daszki, kolumny
i posągi, misterne mostki i kładki, promy i baciki. A po obu
stronach pałacowego
gmachu, kształtem amfiteatru stały ogromne mury, leż blachą
kryte, officyn,
stajeń, śpichlerzy i t. p.
Może o parę tysięcy kroków od tego dworu, na piaszczystej
wydmie wznosiły się
opuszczone mury kaplicy, przykryte dziurawą strzechą,
uwieńczone pochylonym na
spróchniałym słupku żelaznym krzyżykiem, na którym
siedział zasepiony puszczyk,
niezważający na wrzaski licznej zgrai wróblów, co przez
powybijane okna
kościółka, to wypadła na niego, to zmykała znowu do środka.
Tuż przy kościółku,
jakieś dwa słupy, związane u góry trzecim, jakby szubienica,
utrzymywały dwa
niewielkie dzwony. Wszystko to otacza zwałony, spróchniały
parkan, nie broniący
już wstępu kozom i wieprzom, co profanując groby, niszczyły
wątle brzoźki i
jodełki, co rok raz napróżno osierociały ręką sadzone,
gorzkiemi polewane łzami,
a nawet i kości wygrzebywały z ziemi! Dalej za cmentarzem,
w straszliwej ruderze

plebania leżała, a za nią ciągnęły się długim szeregiem
nędzne, zapadłe w
ziemię, czarne, bez kominów, a niektóre i bez dachów,
wieśniacze chaty. Wszystko to dzisiaj umiem po imieniu
nazwać, umiem odgadnąć łatwą do odgadnienia
przyczynę takiego stanu rzeczy, umiem, niestety, smutne
wyprowadzić wnioski;
lecz wówczas, widziałem tylko przedmioty, które po raz
pierwszy dopiero uderzały
budzącą się wyobraźnię moją, i żywą przejmowały mię
ciekawością. Niezliczonemi
więc pytaniami zarzucałem kochaną matkę, a na wszystko
paluszką wskazując, co
chwila wołałem: a to co? a to dla czego?
I uderzony widokiem wspaniałych pałaców,
— Co to, droga mamo? — krzyknąłem.
— To pałac — odrzekła matka.
— Pałac! cóż to jest pałac? — spytałem znowu.
— Pałac — odpowiedziała matka — jest to dom wielkiego
Pana.
— A cóż to jest wielki Pan? — spytałem znowu.
— To taki człowiek — odrzekła — co nigdy nic nie robi,
chyba tylko pieniądze
liczy, bo inni ludzie na niego pracują; jeno zajada same
przysmaczki, spija
słodkie napoje, ciągle się bawi, bo ma mnóstwo zabawek i
żywych lalek, ma
prześliczne sukienki, koniki, pieski, strzelbeczki, i wszystko,
czego tylko
zechce. A ci, co tu naokoło żyją, jemu tylko służą.
— To dobrze być wielkim Panem! — zawołałem zachwycony
tym obrazem.
— O! i bardzo dobrze! — odrzekła matka z westchnieniem.

— A to co?— spytałem znowu, wskazując na opuszczony kościółek.

— To kaplica, — odpowiedziała matka.

— Cóż to jest kaplica?

— To domek Boga.— To i ten Bóg, co tu mieszka, temu wielkiemu Panu służy?

Uśmiechnęła się dobra matka i odrzekła: — Nie, moje życie ? nie mów tak, bo to

się nie godzi! Bóg nikomu nie służy; bo Bóg jest Panem nad Pany, bo jemu służy i

Niebo i ziemia cała, i wszystko co jest na Niebie i na ziemi, bo to wszystko

Jego, a co tylko mamy, to On nam dał ze swojej łaski.

— To i ten wielki Pan Jemu służy?— spytałem zdziwiony,— i ten piękny pałac, i

wszystko ma z Jego łaski?

— Tak moje życie.

— A czemuż ten Bóg sam mieszka w takim ubogim domku, a takie piękne pałace darowuje?

Zakłopotana matka odpowiedziała mi po niejakiemu namyśle:

— Bóg tu nie mieszka, moje dziecię; Jego mieszkanie w

Niebiesiech, piękniejsze

nad najpiękniejsze pałace największych Panów, gdzie

kiedyśmy wszyscy będziemy z

Nim mieszkać, jak będziemy dobrzy.

— A czemuż mama mówi, że ten ubogi domek jest domkiem Boga?

— Bo Bóg tu zstępuje z Niebios, jak Go ludzie proszą.

— To muszą Go chyba bardzo pięknie prosić, kiedy On, będąc Panem nad Pany, i

mając takie piękne mieszkanie w Niebiesiech, na prośby ich, przychodzi do lak

nędznego domku?

— Tak moje życie; on i do naszej ubogiej chatki przychodzi jak Go pięknie

prosimy, bo to Pan bardzo a bardzo dobry!

— I my z nim będziemy mieszkać?

— Będziemy, jak zasłużymy.

— I ten wielki Pan będzie?— Będzie, jak zasłuży.

— A któż to dla tego dobrego Boga, tutaj taki nędzny domek zbudował?

— To ten Pan, co w tym pałacu mieszka.

— To jakże go przyjmie Bog w Niebiesiech, kiedy on Jego tutaj tak źle przyjmuje?

Jeszcze nie znalazła matka odpowiedzi na moje dziwne pytanie, gdy się ozwał

dzwonek od kościółka, i nowe wywołał:

— A to na co dzwonią?

— To wołają ludzi, by szli Bogu dziękować za Jego dary, i prosić Go o życie i

zdrowie, o chleb powszedni, i o przyjęcie ich kiedyś do swego mieszkania.

Zamilkłem. Tłum dziwacznych myśli cisnął się do mojej rozmarzonej główki; a

dzwonek dźwięczał i dźwięczał; a ze wsi szła gromada ludzi z kosami, grabiami,

widłami, lub siekierami na plecach, a za nim ktoś jechał konno z bizunem w

ręku,— i nikt do kościółka nie wszedł!

— Mamo! — zawołałem zdziwiony — czemuż oni nie idą dziękować i prosić?

— Bo ich na pańszczyznę pędzą; bo oni idą służyć temu Panu co w pałacu mieszka,

i nie mają czasu zachodzić do kościółka.

— Jakże to? mama mówi, że Bóg jest Panem nad Pany, że Mu wszyscy służą, nawet i ten Pan z pałacu, a ci ludzie nie Bogu, ale temu Panu służą; to on taki większy Pan od Boga?

— Nie, życie moje! ale Bóg dobry i łaskawy; on kocha tych co pracują, i od nich przyjmie podziękowanie i prośbę nawet i na polu i w lesie, tak jak przyjmuje piosenkę skowronka nad zieloną niwą, piosenkę słowika na kwitnącym drzewie, którzy Go po swojemu chwala, — bo wszystko co żyje Pana Boga chwali.

— A tenże Pan, czemu nie idzie Bogu dziękować, kiedy on mu darował taki piękny pałac i tyle różnych rzeczy? Czemu nie idzie prosić, aby go kiedyś przyjął do swego mieszkania? Czyż się Bóg za to nie będzie gniewał? A jak mu wszystko odbierze i do swego pałacu nie wpuści? Westchnęła matka, i nic nie odrzekła, tylko mię wprowadziła z sobą do ubogiego kościółka, mówiąc.

— Chodź, moje życie, podziękujmy Bogu i za siebie i za innych.

I padła u progu na kolana, i rzewne łzy potokiem z oczu się jej rzuciły.

Ja stałem przy niej jak wryty, złożywszy rączki na piersiach, i nieruchomym

wzrokiem wpatrując się przed siebie, jak gdyby pragnąc obaczyć tego dobrego

Doga, który miał przyjść słuchać dziękczynienia i prośby mojej drogiej matki; i

niepojętem przenikniony uczuciem, choć Go nie widziałem,
byłem pewnym, że musiał
być tam obecnym, i cicho szeptałem słowa modlitwy, które do
owego dnia
powtarzałem rano i w wieczór za matką, nie rozumiejąc
dobrze jej celu, i słów
spamiętać nie mogąc, a teraz i zrozumiałem i znalazłem w
pamięci, i ciągiem
powtarzał: Boże, Boże! daj zdrowie i szczęście tata mamie i
wszystkim ludziom!
O! pewno Bóg dobry był tam przytomnym, i moją dziecięcą
duszę piastował na
swojem łonie; bo nagie kaplicy ściany, spłowiąły obraz w
ołtarzu, na którym
stały żółte świece i drewniany krucyfiks, nie mogły jej tem
wielkiem, tem
niepojętem uczuciem przejąc, którego wspomnienie dotąd w
niej się budzi i łzami
słodkimi serce mi odświeża. Wyszliśmy z Bożego domu, a z
wielką myślą w maleńkiej główce, z wielkiem
uczuciem w maleńkiem serduszku postępując poważnie przy
matce, nie dokuczałem
już jej swemi pytaniami; i wkrótceśmy opuścili ubogą
wioseczkę wielkiego Pana,
którego ogród był pełny marmurowych posągów, a kościół
stał pustkami, w którego
nie tylko psiarnie i stajnia były wygodniejsze od chłopskich
chatek i mieszkania
plebana; lecz nawet pałac i oficyny, lecz nawet karczma była
wspanialsza od
Bożego domu!! * * *I oto po dwódziestu leciech znowum w
tem samym miejscu, po którym dziwne

wrażenia w mej duszy wybijają nad wszystkie inne, nierównie
świeższe, i, zdałoby
się, silniejsze.

Taż sama wspaniała rzeka, też nad nią wzgórza i drzewa,
tenże most na niej, też
drogi i ścieżki, i krajobrazy dokoła; lecz gdzież jest ów
domek Boży z dziurawą
strzechą? gdzie cmentarz białymi posypany kośćmi? gdzie
owa nędzna plebanja?
gdzie, jeszcze nędzniejsza, czarna jak rozpacz, wioska? gdzie
wspaniała karczma?
gdzie wyniosłe baszty pysznego pałacu owego wielkiego
Pana? Kto zamiast owych
posągów w angielskim ogrodzie nastawiał tyle krzyżów i
grobowych pomników? Zkąd
ten piękny kościół na miejscu dawnej rudery, w koło opasany
murem i osadzony
świerkami? Zkąd ten schludny i wygodny, choć skromny,
domek plebana? Jakiego
czarodzieja magiczna różyczka dawne, zapadłe w ziemię,
wałące się wieśniacze
chaty, w takie powabne, wesołe, białe a czyste zmieniła
dworki, otoczone
zielonemi drzewkami miłemi, i jeszcze milszemi, sporemi
stertami zboża? Dla
czego dawniejszą karczmę czy oberżę dziś mi nazywają
parafialną szkółką,
dawniejszą stajnię— szpitalem, dawniejszą ogromną kuchnię
— łazaretem,
dawniejszą gorzelnię — domem ochrony, dawniejsze
pańskiepiczlerze — gromadzkim zapaśnym magazynem? Dla
czego ów przepyszny pałac,

odarty z złoconej blachy, pozbawiony okien, opadły z tynku,
sterczy straszliwą
pustką w ruinie na zarosłym chwastami dziedzińcu? Co to za
dziwy? czyja to ręka
sprawiła? Czyliżby doprawdy Bóg dobry rozgniewał się na
owego wielkiego Pana i
odebrał mu swe dary? czyż go przynajmniej przyjął do swego
niebieskiego
pałacu?...

Oto kościelny dziadek dzwoni na Anioł Pański; pójdę do
niego, a nim zmówię
pacierz, on przedzwoni i potem mi te dziwne sprawy objaśni.
Skończył; podszedłem z przyjaznym ukłonem: — Niech
będzie pochwalony Jezus
Chrystus! — Na wieki wieków! — odrzekł, uchylając czapki.
— W śliczne dzwonicie
dzwony! aż serce się na ich głos miły raduje! jak organy grają!
a słyhać je
pewno o dobrą milę;— rzekłem, starając się zagaic rozmowę.
— Bądź Bogu chwała! — odrzekł staruszek;— prawda, że
śliczna! prawda że mile
dzwonią i daleko je słyhać ludziom na ziemi; obyż je i Bóg
posłyszał i mile
przyjął w Niebiesiech! Obyż modlitwy, do których one
wzywają, uprosiły Jego
zmiłowania nad grzeszną duszą! I ręce złożył, i oczy wzniosł
ku Niebu z
głębokiem westchnieniem. — O jakiejże to grzesznej duszy
mówicie, dziaduniu?—
spytałem ciekawie.
— Małoż to grzesznych na świecie? — rzekł staruszek, a
dobywszy tabakierki z

brzozowej kory, uprzejmie częstował mnie zieloną tabaczką.
Obaśmy zażyli,
kichnęli i powinszowali sobie lat setnych; a ja rzekłem znowu:
— Ale i dom Boży wspaniały! aż miło spojrzeć! W całej tu
okolicy nic podobnego
nie widać; nawet i w powiatowym mieście, niema takiej
świątyni.— Chwała bądź Bogu w Niebiesiach!— zawoła
staruszek pobożnie schylając głowę.
Obyż przynajmniej ludzie, co się w niej modlą, uprosili dla
grzesznej duszy Boże
zmiłowanie!
— Podobno—ciągnąłem dalej—inaczej tu było
przeddwódziesiątą laty.... czy to jaki
inny Pan tu nastał?
— Nie inny, nie inny, miły mój Panie; wszystko to dawny Pan
zrobił, ale z innym
sercem, ale z upamiętaniem.
— I jakże to było? powiedźcie, serdeczny dziaduniu! niech i
ja o Bożych cudach
usłyszę. Ot, jeśli wola, pójdźmy do szynkarza na szklanekę
piwa, to może mi, z
łaski swojej, opowiecie?
— Bóg zapłać! dobry paniczku; a czemużbym znowu miał
Boże cuda ukrywać?
I poszliśmy; a usiadłszy na przyźbie pod zajezdnym domem,
poprosiliśmy o
półgarnca marcowego piwa, i starzec tak zaczął prawić:
— Oj prawda, że przed dwódziesiątą laty inaczej tu było!
Nieboszczyk starościc,
Panie mu odpuść, chocia z maleńkości pocziwą
poprowadzony był ręką, bo i Pan
starosta i Pani starościna żyli w bojaźni Bożej i dbali o miłość
ludzi; otóż i

on zrazu coś na dobre wróżył i serca ludzkie i rodzicielskie
radował; ale jak
wyrósł, jak się od jakiegoś Niemca wyuczył nieludzkiej mowy
i nieludzkich
obyczajów, jak się potem po cudzych krajach włóczęc,
zapomniał i zwyczajów i
obyczajów domowych i całe serce oddał zamorszczyźnie,
zniechędziwszy rodzinną
ziemię i ludzi co na swej żyli,— tak wszystko inaczej poszło!
I jak wrócił do
domu, jak zaczął hulać i wydziwiał; tak i poczciwych
rodziców zgryzotą zabił, i
poczciwych ludzi od siebie odstręczył.
W ubogich trumienkach zagrzebał rodzicielskie ciała ot tam
pod kościołem, i nie
tylko nie uczcił synowskim żalem a pięknym nagrobkiem
błogiej ich pamięci, lecz nawet i o duszy zapomniał. Me
pora jemu było myśleć o tern, bo trzeba było pić a polować, a
pyszne pałace
stawiać, bo nowym przyjaciołom i nowym zwyczajom za
ciasno było pod skromnym
rodzicielskim dachem!.. To też i spustoszała Pańska świątynia,
upadając w gruzy,
jak gdyby chcąc niemi pomnik osypać ciałom dobrodziejów
swoich; poczerniały
wieśniacze chaty, jak gdyby żałobę wzięły po kochanym
Panu, zapadły w ziemię,
jak gdyby z nim razem do grobu wejść chciały; znędziały i
zbladły kraśne
niegdyś wieśniaków twarze, i z łez nie osychały ich oczy, jak
gdyby zmarli, im
wszystkim, a nie rodzonemu dziecku, rodzicami byli! Lecz za
to stanęły te pyszne

pałace, które dziś w gruzy wali ręka Boża, za to starościc hula
dni i noce z
dobraną drużyną!...
Hulał, zapomniawszy o ludziach, o których się na cudzej
ziemi dowiedział, że
bydłętami byli; zapomniawszy o Bogu, o którym mu
farmazony jakieś powiedzieli,
że się nie kłopotą ludzkimi sprawami, bezbożnego śmiechu,
ani serdecznego
płaczu nie słysząc!.. Ale powiadały mi stare ojcowskie sługi,
że czasem i na
niego przychodziła chwila upamiętania, że nieraz, po
rozpustnej hulance, zamykał
się w swoim pokoju, i to biegał jak opętany, z boleśnym
jękiem rwąc włosy na
głowie i bijąc się gwałtownie w piersi, to padał na twarz przed
wizerunkiem swej
matki, i płakał żałośnym płaczem, aż serce się na to krajało! I
przez dni kilka
polem lżej było ludziom; a on, znędzniały, wybladły, jakby z
krzyża zdjęty,
chodził zadumany i chmurny. Żeby się znalazła wtedy jaka
pocziwa ręka, coby go
ująwszy na dobrą wprowadziła drogę, pewnoby się upamiętał
nazawsze; ale się
dobrzy ludzie, przyjaciele rodziców, odwrócili od niego, a źli,
najechawszy
hałaśliwą zgrają, po-rywali go zaraz na bity szlak zraty! I
skromny kwiateczek cnoty, co wschodził
w jego sercu, wyproszony u Boga modłami świętych
duszy rodiców, usychał i
marniał, bujnym zagłuszony chwastem; biały gołąbeczek
wspomnienia z dziecinnych

latek, ginął biedny w szponach srogiego jastrzębia sprośnych
namiętności,
wypuszczonego przez piekielnych łowców!...
Ale, piętnaście lat temu, jak dziś pamiętam, na świętego
Kazimierza Królewica,
pod którego nazwaniem stał dawny kościółek, a który był
świętym Patronem i
nieboszczyka starosty i jego syna,— jakoś to było trzeciego
dnia postu ,
zjechało się tu wiele Państwa na odpust, jedni z pobożności,
drudzy dla
ludzkiego oka, a inni znowu, jak przyjaciele starościca, co nie
wierzyli w Boga,
żeby się na piękne panie napatrzeć i sobą się pochwalić!
Zajechał i starościc w
złoconej kolasie, czy z tejże racyi, czy może, by kamratów
swoich na huczną
uczcie zaprosić, którą obchodził dzień swego Patrona; bo
zresztą nigdy w świątyni
Pańskiej nie bywał, z której świętokradzką ręką pozabierał co
najpiękniejsze
obrazy do swego pałacu! Nie długo też posiedział, jeno się
zakręcił, i zaraz
wybiegł, poświstując sobie; a ja właśnie u dzwona stałem,
mając na kazanie
dzwonić, i wszystko to na swoje własne oglądałem oczy.
Jakoś to w tym roku zima od nas prędko uciekła, i cmentarz
już biał
wygrzebanemi z piasku kościami. Starościc, biegnąc z
kościółka, spotkał się o
jakaś czaszkę i kopnąwszy ją nogą, znać za podszeptem
szatana, zawołał ze

śmiechem: "ha! Panie muzyko!— (bo to powiadają, że gdzie się człek spotknie, tam jakiś muzyka Leży), proszę Waćpana do mnie na biesiadę!"
Mnie włosy powstały na tę zniewagę zmarłych!.. a trupia głowa, tocząc się po żwirze, grobowym głosem wyrzekła: będę!— Starościc się o-bejrzał, pobladł, jak chusta, chciał się przeżegnać; lecz polem plunął, zachycholał, skoczył do kolasy i ruszył galopem! a grzmotny trzask z bicza zagłuszył i głosy dzwonów i organów, i poprzestraszał puszczyki pod kościelną strzechą, które z dziur swych wypadłszy, złowrogo załopotwały skrzydłami nad bezbożnika głową.Ćma gości była na uczie w pałacu; a pocziwy nasz proboszcz, całą noc we łzach na modlitwie spędził, prosząc o zmiłowanie Boże dla duszy starościca, którego on z grzechu pierworodnego obmył, i modlić się uczył; a dzisiaj, wzgardliwie był wypędzony prawie z pałacu, gdy przyszedł z rodzicielską radą, by solenizant odłożył hałaśliwą ucztę na potem, i nie gorszył pocziwych ludzi huczną biesiadą trzeciego dnia wielkiego postu!
Nazajutrz, o świcie, poszedłem według zwyczaju dzwonić na Anioł Pański; ale mój mocny Boże! cóżem na cmentarzu znalazł!.. Jak raz na mogile starosty, nieszczęsny syn jego leżał rozciągnięty, z obłąkanemi oczyma, z wybladłą twarzą, z rozczochranym włosiem, ze zbrczonemi zapiekłą krwią ustami, cały przemokły na

słocie, skostniały na chłodzie i zwałany błotem!...
Przerażony tym straszliwym widokiem, zapomniawszy o
dzwonach, na gwałt wołając,
rzuciłem się czem prędzej do plebanji, zbudziłem proboszcza i
zakrystyana,
skoczyliśmy na cmentarz, i obumarłego prawie starościca, na
własnych rękach
zanieśliśmy do pałacu.
W pałacu, i wszystka służba po kątach, i muzykanci na swoich
ławkach, i wszyscy
goście u godowego stołu spali jak zabici, jakby ich kto obniósł
świeczką z
trupiego szpiku! W komnatach walały się butelki, kielichy i
karty; stały
dukatami zavalone stoły, a w srebrnych świecznikach jarzące
świece, topniejąc
nieucierane, kapały naciennie obrusy, na drogie makaty i
kobierce! Mój Boże! pomyślałem sobie — żeby
to choć setna część tego bogactwa do naszej ubogiej Świątyni!
I smutnie
westchnąłem, bo mię zabolęło serce i gorzka łza wyszła na
oczy.
Złożyliśmy starościca na łożu, zaczęli go trzeźwić i cucić to
wodą, to octem; a
wreszcie zakrystyan i służby się dobudził, i wieści straszliwe
rozeszły się po
całym gmachu, który za pół godziny stanął pustkami, jak
gdyby w nim nigdy
żadnego gościa nie było.
Ksiądz proboszcz co żywo posłał po doktora, a sam
tymczasem, jak mógł, radził
choremu. Podano mu suchą bieliznę, podano wody, by wargi
skrwawione obmył, ale,

zaledwie wziąwszy je w usta splunął do srebrnej miednicy
krwią, zafarbowaną
jęknął przeraźliwie, i odtrącając szklanę ze zgrozą, wołał
dzikim głosem: nie
chcę już! nie chcę! dosyć już tego napoju! dosyć tej krwi i
łez!... zmiłowania
ojcze!....

Przyjechał i doktor, zapisał lekarstwo, i po kilku dniach
troskliwego tuptania,
przywołał do przytomności chorego, który na reszcie przestał
o krwi i łzach
gadać i ojca wspominać. Ale, jakąś dziwną niemocą złożony,
nie mógł już powstać
z pościeli aż do śmierci; przez pięć lat cherłał i cherłał
nieborak, a w końcu,
jak raz w rocznicę tego zdarzenia, Bogu ducha oddał.
I pochowaliśmy go, stosownie do jego woli, w ubogiej
trumience, jak Łazarza,
rzędem z rodzicami, i wszystkie trzy groby jednym kamieniem
przykryli. A cała
włość, i dawni przyjaciele rodziców nieboszczyka, rzewnemi
łzami pamięć jego
uświęcili.

Bo trzeba wam wiedzieć, miły paniczku, że od owej nocy, od
owej gorączki,
starościc stał się zupełnie innym człowiekiem! Jak tylko
odzyskał przytomność,
zaraz posłał prosić do siebie starego proboszcza, który go i
beztego co dzień odwiedzał, ale on wtedy nikogo nie
poznawał. Otoż, zaprosiwszy go
do siebie, z rzewnemi łzami zaczął przeproszać za dawne swe
sprawy, i łkając jak

dziecko, i całując go po rękach, przyrzekał poprawę życia, i błagał, by go nie opuszczał, by mu nie odmawiał rady i pociechy. Pocziwy nasz proboszcz i sam się rozpłakał, bo go taki zawsze kochał jak własnego syna, i uściskawszy, i ucałowaławszy — pobłogosławił jego dobrym chęciom, i przyrzekł mu swoją opiekę. I zaraz taki ruszył po dworach starych przyjaciół starosty, co się odstrychnęli od starościca w jego obłąkaniu; a prośbą i namową ułagodziwszy ich serca, sprowadził ich do jego łoża z słowami pociechy i przebaczenia. Dawni towarzysze swawoli widząc go już do niej niezdatnym i nieochoczym, zupełnie się jego wyrzekli; a zacni ludzie, odwiedzając go często, a dobry proboszcz, wszystkie wolne chwile przy nim spędzając, dawali mu zbawienne rady i skuteczniiali jego pobożne zamiary. On zaś, z lakiem sercem na cnotliwe czyny się wylał, tak cały ludziom się oddał, że zupełnie o sobie samym zapomniał. I chociaż prawda, że dawniej wiele krzywd bliźnim wyrządził, lecz wszystkie hojnie okupił, i tyle dobrego zrobił, że Bóg mu pewno przebaczy, kiedy nawet ludzie przebaczyli. I w pierwszych dwóch leciech, trzy wielkie włości, co tak jak i tutejsza, rozpustą jego zniszczone były, zakwitły na nowo, ale jak zakwitł}!... A w

drugich dwóch leciech stanęła szkółka i dobroczynne zakłady,
o których, nawet za
ś. p. starosty, nikomu ani się śniło; a piątego roku. złoty krzyż
błysnął pod
Niebem na pięknej świątyni, gdzie tysiączne głosy, wielbiąc
Imię Boże, do dziś
dnia błogosławią pamięć starościca!
Najpóźniej stanęła plebanja; bo przezacny proboszcz, uprosił
starościca. który chciał natychmiast budować kościół i
plebanję, by to
na potem odłożył, a przedewszystkiem z ludźmi się pojednał, i
krzywdy ich, jak
można, wynagrodził; bo, mówił, Bóg miłosierny milej to
przyjmie, niż wszelką
inną ofiarę, a nic nie pomoże i sto kościołów, jeśli choć w
jednym głos
pokrzywdzonego brata da się słyszeć, którego nie zagłuszą ani
zakupione
modlitwy, ani śpiewy, ani organy i dzwony. A co do
probóstwa, to od tego laki
zupełnie chciał się wyprosić, gdyż mówił, że nie chce, aby źli
ludzie ztąd
zgorszenie brali, sądząc że on tumani pana starościca i zyski
zeń dla siebie
ciągnie: — to to pocziwa dusza! ale nic nie pomogło, bo taki
i plebanja
stanęła.
Taką świętością okupiwszy wszystkie swe winy, piątego roku,
jak raz w rocznicę
zdarzenia na cmentarzu, jakem już wam powiedział, Bogu
ducha oddał, w zupełnej
przytomności umysłu, z największą, z najprzykładniejszą
pobożnością, ze

zbudowaniem ludzkim. A zapisawszy majątek ubogim
krewnym, zabezpieczył
wieczysty fundusz na szkołkę i na dobroczynne zakłady dla
włościan, którym też
na wieczne czasy, o połowę zmniejszył wszystkie powinności.
I dziwne zachcenie!
— dodał jeszcze w testamencie, że niezmienną jego jest wola,
aby nikt już po nim
w tym pałacu nie mieszkał, i aby len piękny ogród był
obrócony na cmentarz. Tak
się leż i stało: pałac idzie w gruzy, a w poświęconym ogrodzie
najpierwej
pochowano zebrane na starym cmentarzu rozproszone kości,
jakby wynagradzając
dawną poniewierkę, a potem nie mało, jak widzicie paniczu,
gości nań przybyło!
Tam i ksiądz proboszcz odpoczął, Panie świeć nad jego duszą!
tam i ja lada dzień
poniosę posiwiałą głowę, a syn mój obejmując po mnie
dzwony i motykę, pierwszy
raz wystąpi w nowym obowiązku, kopiąc grób dla mnie i
dzwoniąc dla mojej duszy!
O niemocy starościca, powiadali ludzie, że to były suchoty, i
tłómaczyli, że na
biesiadzie owej, rozegrawszy się tańcem i trunkami, i do
zbytku się
podochociwszy, po pjanemu wybiegł z pałacu, zabłąkał się na
cmentarz, a walając
się po grobach, pokrwawił się i poranił, i nie mogąc powstać
na nogi, przeleżał
tam aż do dnia; a to mu dało tę straszną chorobę, co go ze
świata wzięła w samym
kwiecie wieku.

At! wiadomo, ludzie jak ludzie, po ludzku wszystko tłumaczą,
a palca Hożego
nigdzie dostrzedz nie chcą; a jednak tutaj trudno go nie
widzieć?!... Już-to, i
sam ja trochę się domyślałem, różne przymierzając rzeczy; ale
na co tu mówić o
moich domysłach, kiedy mi ksiądz proboszcz słowo w słowo
powtórzył opowiadania
samego starościca?— Otóż tak to było:
Pamiętacie, paniczu, jak on wybiegłszy z kościoła, spotknął
się o trupa głowę,
i na ucztę ją zaprosił? Otoż sam słyszałem, i starościc to
słyszał, jak ona
powiedziała: będę!
Wróciwszy do pałacu, zajął się przygotowaniami do przyjęcia
gości; a ile razy
przypomniawszy sobie spodziewanych biesiadników, zaraz mu i
gość z grobu na myśl
przychodził, i mimo woli strach go przejmował.
Zjechali się goście, bezbożni panicze i płaćne panie, zaczęła
się szalona uczta;
a przy wieczerzy, wśród brzęku kielichów, wśród śmiechów i
wrzasków, starościc
dobrze już podchmielony, opowiedział swoje zdarzenie.
Wszyscy za boki się brali
od śmiechu, i kpili, i drwili, i żalowali że ów gość z grobu
dotąd nie
przychodzi, ale gospodarza jakoś i przy trunku zimny dreszcz
przechodził; pomimo
wszelkich wysiłków, jakaś dziwna trwoga w sercu mu ciągle
leżała, i żadnym
sposobem pozbyć się jej nie mógł.

Wtem nagle zamarła najhojniejsza wrzawa, zamilkła huczna muzyka, siało się cicho, jak w grobie! Staroście spojrzął po biesiadnikach— wszyscy jak siedzieli, tak i zasnęli raptem, by zaczarowani!..

Szarpnął jednego, drugiego, chcąc obudzić; napróżno!

Krzyknął na sługi, — nikt

się nie odezwał, tylko głucho echo poszło po komnatach i puszczyki jęły na

dachu!., a zegar na wieży, straszliwie, jakby na trwogę, zaczął północ dzwonić;

wicher dziko zajęczał w kominach, zadrżały okna, drzwi z trzaskiem się rozwarły,

i w stalowej zbroi, z hełmem na czole, z spuszczoną przyłbicą, z ogromnym

mieczem u boku, wszedł jakiś rycerz olbrzymiej postawy, i wolnym, poważnym

krokiem zbliżył się do biesiadniczego stołu, a kładąc swą ciężką rękę na

ramieniu starościca, rzekł groźnie:— Przybywam na

zaprosiny; gdzież moje miejsce

u twego stołu?

Staroście, dzięki szumiącemu w głowie trunkowi,

ochłonawszy z pierwszego

przełazenia, i wszystko to biorąc za krotocwilę kolegów, uprzejmie zaczął

przeproszać nowego gościa, mówiąc, że już się go był nie spodziewał; podał mu

krzesło, postawił przed nim pełny puhar, i zaczął pleść smalone duby i pustować;

a gość w milczeniu spełniał tylko czarę po czarze, i z pod przyłbicy iskrzącym

się wzrokiem wkoło spozierał.

Nareszcie powstał i rzekł:—Dziękuję! a teraz gościnność za gościnność; pójdź ze mną!

I nieprzytomnego, ujął pod rękę żelaznym ramieniem i wyprowadził z pałacu. I przyszli na cmentarz, i stanęli na grobie starosty. Rycerz swym mieczem odwalił głaz grobowy i ciemnym łożem pociągnął za sobą swego towarzysza, osłupiałego ze zgrozy. I stanęli w nędznej, spróchniałej, zapadłej chacie, bez dachu, z dziurawymi ścianami, brudnej i wilgotnej, bez pieca, bez stoła, bez ław i bez żadnych sprzętów,—podobnej do wielu chałup we wsiach starościca. Tu rycerz podniósł przyłbicę, i struchlały starościc poznał oblicze swojego ojca, zasepione, ponure, groźne....
— Oto mój dworzec! — zawołał starosta, — wybacz, że nie tak cię wspaniale, jak ty mnie, przyjmuję... U mnie tylko cztery spróchniałe ściany, i nic więcej! nie mam nawet poduszki pod tę siwą głowę, która wiek cały dźwigała hełm twardy, służąc ojczyźnie, a którą dzisiaj syn własny potraça nogą!. U ciebie pyszne pałace na ludzkich zbudowane grzbietach, u ciebie piękne makaty i kobierce, wymieniane za ciężką pracę z poddanych, u ciebie kosztowne wina, sztucznie wywarzone z ich łez i polu; tyś pan, ty masz gdzie i czym gościa przyjmować!.. A

ja czymże cię przyjmę?... Czem chata bogata, lem rada — co sam tu piję, tem i ciebie napoję.

I zdjąwszy hełm z głowy, zbliżył go do lewego boku, a drugą ręką dobytym mieczem w serce się ugodził. Trysnęła blado-różowa struga i nappełniła rycerską czarę, którą podając synowi,— pij! rzekł starosta; to twój zwykły napój, ale tylko czysty, niezaprawny, to czysta krew, i czysty pot, i czyste łzy kmiotków, które do skrzyń twoich złotym potokiem płyną, a do mojej duszy piekielnym płomieniem.

Pijże wyrodny synu!

I ujął obumarłego żelazną ręką za szyję, i hełmem rozszczemiwszy zacięte z przerażenia zęby, wychylił mu w usta ten krwawy napój.... I padł bez zmysłów biedny starościc...

Reszta, już wam wiadoma.

Tak się to działo, mój miły panie! ale gadajże ludziom!.. nikt nie uwierzy w straszne sądy Boże, aż ich sam sobą doświadczy!...